

Prawo narodów i władza kapitału. Nad modrym Dunajem.

Trudności i kontrowersje, jakie występują na konferencji londyńskiej pomimo widocznej chęci dościsła do ogólnego porozumienia nastrożają wątpliwości co do jej pozytywnego wyniku, świadczą natomiast, że w moralności politycznej powojennej Europy nie zaszła żadna poważniejsza zmiana i że głównym argumentem dla rękomych czcicieli prawa i wolności ludów pozostaje nadal siła.

Mac Donald, który w myśl swoich oświadczeń dążył do rozwiązania sprawy na gruncie rzeczywiste go porozumienia, zmuszony został do porobienia Herriotowi tak znacznych ustępstw, że wykonanie projektu Davesa staje się wobec nich wątpliwym. Według tego projektu Niemcy jako zabezpieczenie wypłat musiałyby oddać zastawy, niewymienione w traktacie wersalskim i przyjąć na siebie pewne ciężary, wychodzące poza jego ramy. Lecz w takim razie prawo orzekania o uchybieniach Niemiec wobec wierzycieli już nie może przysługiwać komisji reparacyjnej, która tylko z traktatu wersalskiego czerpie swe uprawnienia. Komisja ta skutkiem klęski politycznej Wilsona i wycofania się z niej przedstawiciela Stanów Zjednoczonych stała się wbrew pierwotnym założeniom narzędziem polityki francuskiej. Dopóki komisja ta zachowa nadal swą prerogatywę wciąż zachodzić musi obawa samo dzielnych kroków represyjnych ze strony Francji, które wstrząsnęłyby całą gospodarką Niemiec i sparaliżowały ich wypłacalność.

Dlatego też Niemcy, te Niemcy, które przyjęły projekt Davesa, żądają, aby je dopuszczono na konferencję i zawarto z nimi oddzielny układ, na którego straż już stać nie może komisja odszkodowań, lecz jakaś inna międzynarodowa instancja. O ileby w Londynie powzięto odnośnie postanowienia bez Niemiec i oddano je pod kompetencję komisji reparacyjnej, byłoby to nie innego, jak proste rozszerzenie i zaostrożenie traktatu wersalskiego. Ten punkt widzenia podziela rząd Mac Donalda, a raczej podziela dawniej, gdyż pod naciskiem Herriota skłania się do utrzymania dotychczasowych prerogatyw komisji reparacyjnej i innych żądań Francji. W takim jednak razie Niemcy prawdopodobnie nie przyjmą projektu Davesa, który skutkiem francuskich klauzul, wymaga tylko od nich nowych ofiar, nie dając im ani uwolnienia okupowanych terenów, ani gwarancji wolności gospodarczej.

Poincare z pewnością niczego tak nie pragnął, jak odrzucenia przez Niemcy projektu Davesa i wolnej ręki dla Francji. W warunkach obecnych odrzucenie to miałyby już inny zgoła charakter i nie pozwoliłoby zapewne, Herriotowi powrócić do dawniejszej samodzielnej polityki Poincarego.

Wmieszal się tu bowiem nowy czynnik, który na rząd angielski, nawet na rząd lidera robotniczego niezawodnie będzie miał wpływ potężniejszy niż zasady demokratyczne i pokojowe, na które ów powoływał się w swych programowych oświadczeniach. Czynnikiem tym jest międzynarodowy interes kapitału amerykańskiego, który chce przeprowadzenia planu Davesa i udzielenia Niemcom pożyczki. Skoro te ostatnie mają zostać dłużnikami Ameryki, nie mogą już być skrupowane na rękach i nogach, muszą odzyskać trochę wolności. To też „nieurzędowy“ przedstawiciel Ameryki oświadczył się bar-

dzo stanowczo przeciw utrzymaniu (a raczej rozszerzeniu) kompetencji komisji reparacyjnej i oznajmił, że kapitał Stanów Zjednoczonych udzieli pożyczki jedynie w tym wypadku, jeżeli będzie miał dostateczną gwarancję bezpieczeństwa Niemiec przeciw represjom i egzekucjom francuskim.

Mamy tedy fakt sui generis i przedmiot ciekawych rozmyślań dla moralistów dzisiejszych. Niemcy, wydane na samowolę zwycięzców mogą odzyskać część praw narodowych, jako dłużnik Ameryki. Jest to w danej chwili ich najmniejsza tarcza.

Cóż się stanie w razie nieuwzględnienia tego żądania? Ameryka od mówi pożyczki i na dobre obrzuci się na niesforą Europę, która wciąż udaremnia dzieło własnej od budowy. Zdaniem najpoważniejszych specjalistów ewentualne wycofanie się Ameryki obala plan Davesa i z nim perspektywę możliwej

go rozwiązania sprawy, a przywraca trwóży zamęt z przed roku Ba, gorzej jeszcze, bo wówczas istniały pewne nadzieje, które tym razem byłyby pogrzebane. Przypuszczając należy, że obecny rząd francuski w osobie Herriota nie odważy się brać na swe barki ciężkiej odpowiedzialności, której bezwzględnie nie uniknie w razie obalenia planu Davesa.

W każdym razie trudno się oprzeć przykrym refleksjom, gdy się widzi niemoc zasad i prądów ideowych w starciu z praktyką polityczną. Radykalizm Herriota prawie nie różni się w danej sprawie od nacjonalizmu Poincarego. Mac Donald z racji swej ideologii musi się mocno przeciwstawiać nacjonalizmowi francuskiemu, ale w praktyce robi mu bardzo dalekie ustępstwa. Na serio staje mu tylko na drodze interes kapitalizmu amerykańskiego, biorący w obronę swego przyszłego dłużnika.

J. Mazurski.

Obrazki z Pomorza.

Cmentarz.—Bratnie mogiły.—Staruszka-patriotka. Obchody i uroczystości.

Jednym z najpiękniejszych zakątków Torunia jest cmentarz, jeden barwny kwiatnik starannie utrzymany. Nie rozdzielono tu umarłych podług wyznania. Katolicy i protestanci spią razem. Czy to stało się wskutek tolerancji rządzącego protestantyzmu, czy dlatego, że władze pruskie chciały zniwelować wszelkie odrębności pomiędzy podwładną sobie ludnością, dość, że polacy i Niemcy zgodnie tu razem spoczywają.

I co uderza tu jeszcze, oto dużo nazwisk polskich na grobach ewangelickich, a równocześnie niemieckich na katolickich płytach.

Proces wzajemnego przenikania się tych dwóch narodowości, ciągnął się tu od wieków. Dopiero jednak rok 1874, czas kulturkampfu zaznacza się i na tem polu śmierci jakby wystrzeleniem żywiołowej niezależności uczuć. Dawny niemiecki wyraz „ruhestatte“ zmienia się na polskich mogiłach na „prosi o zdrowaś Marja“, czuć, że ci gniebieni, poza katolicyzmem, chcą być jeszcze, choć po śmierci, polakami.

Przy jednej z mogił, olozonej dokoła niemieckimi napisami, spotykamy modlącą się staruszkę, pytamy ją o wskazanie nam drogi w labiryncie popłatanych ścieżek, njebachnie używając słów niemieckich. W milczeniu wskazuje na napis polski: „grób rodziny Sobczaków“, a gdy ją przepraszamy za pomyłkę rozpoczyna rozmowę z radością, witając gości z Warszawy. „Jakże długo mowa polska była dla mnie jak dzwon, jak echo dalekiej pieśni“—szepcze i mówi dalej słicznie, archaicznym stylem czerpanym ze starych patriotycznych książek, z Chociszewskiego szczególnie, bardzo tu dotąd popularnego.

Dwuch synów straciłam w wojsku pruskim „za cudzą sprawę“, i tylko ostatni 18-letni powitał wkraczające tu wojsko polskie. „Jakiśmy je przyjmowali“—mówi—„poszły na to oszczędności wieloletniej pracy“. A potem gdy Warszawa była zagrożona, „mój ostatni“ poszedł na ochotnika. I wymodliłam sobie, że powrócił. Ale dotąd nie spełniłam jednego, uczynionego w czasie wielkiej wojny, ślubu. Nie poszłam na klęczkach do kościoła, choć już od kilku lat polskie orły powiewają na ratuszu toruńskim. Nie śmiałam. Tyle złam mi się naraz wśród swoich objawiło i przyszło zwatnienie. Może nie potrafimy wielkiego daru utrzymać, może go jeszcze nie jesteśmy godni“

A mówiła to kobieta prosta, z owego drobnego mieszczaństwa, które gdzieindziej, bodaj w stoli-

cy państwa, bezkrytycznie poddaje się każdej szkodliwej agitacji. Ta mieszkanka zagrożonych kresów umiała swoją świętość nieskazitelną w głębi duszy utrzymać.

Nie jedyny to obrazek cmentarny. Oto grupa dziewczyn, sześcioboczących po polsku, wyrwa zielsko, zaczynając się już panoszyć na opuszczonych niemieckich mogiłach.

„Wyjechało stąd tak wiele Niemców“, opowiadają nam, że w końcu cały dawny cmentarz zarosło, przychodzimy tu w chwilach wolnych od zajęć i oddajemy zmarłym te chrześcijańskie usługi. Niech wiedzą ci, co nad nami panowali, że mamy dobre serce“. Czy takie czyny nie gotują drogi dla przyjścia tyle oczekiwanego braterstwa ludów?

Ubiegłe wieki za to dawały tylko przykłady zmagania się na tych ziemiach, żądny władzy i panowania nawet nad duszami ludności. Odbija się to żywo na murach wspaniałych tutejszych kościołów. Walczył tu stale protestantyzm z katolicyzmem, odbierając je sobie wzajemnie, niszcząc cichą i kontemplacyjną religijną myśl. Średniowieczne, wyszrzelające ku niebu ostrołukowemi sklepieniami, aż wreszcie przyszedł złowrogi wpływ Jezuitów i barokowe, przez nich wprowadzone, ołtarze, wraz z posianą rozterką wewnętrzną. A potem niewola i skupienie się „udności polsko-katolickiej w paru tylko kościołach zakonnych, najdawniejszych, i jej paląca, bolesna tęsknota za innymi, pełniejszymi formami bytu...“

Dziś Toruń jest polskiem miastem, 4.500 tylko Niemców na 50 tysięcy ludności tu pozostało i dawniejsi pariasi odważają się na urządzanie takich obchodów, jak pamiątka bitwy grunwaldzkiej. Staje się ono prawdziwą manifestacją wojskową. Niemcy uczynili z miasta potężną twierdzę obronną, z olbrzymimi koszarami, poligonami i t. p., otaczały ją podmianowane pola, gotowe w razie zagrożenia wybuchnąć. Losy zradziły inaczej. Przygotowane doskonale oparcie dla naszej „straży nad Wisłą“, dzielnie się tu prezentującej.

Teatr nowożytny dla niemieckiej sztuki zbudowany, rozbrzmiewa polską mową, ale „miejscowa“ publiczność najchętniej jednak gromadzi się na koncertach religijnych. W ostatnich czasach wystąpił tu chór katedralny z Poznania, złożony z chłopców, tak jak w kaplicy sykstyńskiej, pod batutą księdza Giebartowskiego. Wykonał on precyzyjnie utwór Bacha, Palestriny i Wagnera.

Sezon ogórkowy i walka o „Wacht am Rhein“.—Zagraniczna edukacja kelnerów.—Reinhardt fabrykuje świeże powietrze.—Niebezpieczne skutki krótkiego śpięcia.

Wiedeń, w lipcu.

Mimo konferencji londyńskiej i innych kłopotów europejskich zawitał sezon ogórkowy w całej pełni do stolicy naddunajskiej, z której ucieka każdy, kto może, aby na łonie natury zapomnieć o wszelkie go rodzaju troskach wielkomiejskich i smród benzynowy zamienić na czyste, górskie powietrze. — Pozostali jednak mają zawsze powód do zmartwień i irytacji i to z całkiem blahych, a czasem także i nieblahych powodów.

Oto onegdaj wracała przez Prater kompania wojska austriackiego, której komendant, widocznie zacięty jakiś monarchista i wszechniemiec, kazał śpiewać „Wacht am Rhein“, co tak oburzyło publiczność Prateru, — która na wet za czasów monarchii była bardzo demokratycznie usposobiona, że chciała dać żołnierzom odpowiedź „mores“.

Przyszło do małego starcia, w które siłą rzeczy wciągnąć się musiała policja i walczących rozdzieleno. Bowiem w Praterze załatwia się wszelkie porachunki na pięście czasami zaś i na noże, co chyba do brym tonem nie grzeszy.

Abym zaś dobry ton sobie przyswoić, wysłała tutejsza organizacja kelnerów swych młodych adeptów za granicę na praktykę, gdzie uczą się grzeczności, obcych języków, zarazem kształcą swój zmysł obserwacyjny na rozmaitych typach gości, z jakimi się tam spotykają.

Albowiem kelner fachowy musi odrazu wiedzieć, z kim ma do czynienia i jakie gośce gazety czyta. Ubranemu porządnie gościowi o jednym lub dwóch pierścionkach na palcu podaje „N. Fr. Presse“, lub „Tageblatt“, jednakowoż bez zbitych ceremonii, gdyż wie, że to jakiś urzędnik, ewentualnie kupiec, który da napiwek dobry, ale nie najlepszy. Jegomość, którego palce oplecionie są formalnie brylantami, a który wygląda tak, jak gdyby dopiero przyjechał z Moskwy lub „Leningradu“, otrzymuje wszystkie możliwe pisma ilustrowane i humorystyczne i jako dodatek — „Rote Fahne“, organ komunistów tutejszych.

Gościom, mającym twarz uduchowioną, można zamyśloną, lub melancholijską, nie podaje wogóle żadnych gazet, gdyż wie, że siedzą oni godzinami przy jednej „czarnej“, pisząc wiersze, tragedie i poematy a siedzieliby jeszcze, gdyby czytać mogli dzienniki.

Tak więc, kelner musi być psychologiem, politykiem, a czasem nawet salonowcem (jeżeli chodzi o kobiety) i z tego powodu powinien posiadać odpowiedni takt i zachowanie się, którego nabywa podczas swej praktyki zagranicznej, stykając się z ludźmi rozmaitych krajów i ras. Musi nawet wiedzieć, kto pije kawę z kożuszkami lub z kożuszką, letnią, gorącą, czy zimną, co jednak zostawiam już debiscytowi szanownych czytelników, a zarazem donoszę, (bo właśnie mowa o zimnie i gorącu), że Reinhardt, posiadający jeden z najlepszych i najwzroźszych teatrów w Wiedniu, chce grać mimo

ów także i w lecie, zaprowadził w sali teatralnej wentylatory podziemne, wydające na godzinę 24.000 metrów kubicznych świeżego powietrza, ochładzającego w wysokim stopniu temperaturę i ściągającego masami... publiczność żadną z powodu upałów ochłody, no i... sztuki.

W ten więc wysoce praktyczny sposób rozwiązał Reinhardt zawiły problem kasowy w gorących miesiącach letnich, w których ludzie nie chcą słyszeć o teatrze, bo jest się gorąco.

Atoli w Wiedniu trzeba się nie tylko bać gorąca, lecz także... krótkiego śpięcia, zwłaszcza, jeżeli się jest w restauracji na Praterze.

Onegdaj bowiem nastąpiło w jednym z tych lokali, krótkie śpięcie, wszystkie światła pogasły i nastąpił błogosławiony ciemności egip-

skie dla tych, którzy zjadłszy i wypiliwszy, nie lubią płacić.

Kelnerzy jednak byli mądrzejsi. Wiedząc, że do Prateru uczęszcza nie bardzo „solidna“ publiczność, obstawili wszystkie wyjścia tej restauracji, aby się nikt nie wynknął nie zapłaciwszy rachunku. Temu zaś, kto go uiszczył, wydawano „przepustkę“, uprawniającą go do opuszczenia lokalu, u wyjścia którego stał kelner ze srogą miną na warcie i pytał każdego wychodzącego z miną policjanta, lub biletera: „Czy ma pan przepustkę?...“ Zaś biada temu, kto jej nie miał! Cały do domu nie wrócił, jeżeli wogóle wrócił...

Tak więc „krótkie śpięcie“ kształci kelnerów nawet na dedek tywów i policjantów, podczas gdy gość, wypiwszy szklanek piwa, myśleć ciągle musi, czy wróci do swojej żony i swych nieletnich dzieci, jeśli przepustkę zgubi, lub razem z gulaszem polknie.

Są to jednak problemy, o których się nie śniło nawet filozofom i ich podartym trzewikom i dlatego lepiej przejść nad nimi do porządku dziennego, napiwszy się piwa w Praterze i spytawszy się na stopnie samego siebie: „Czy ma pan przepustkę do... Kulbarkowa?“

W. N.

ROZŁAM W FASZYZMIE.

RZYM, 26 lipca. (Tel. wł.). Komitet centralny dysydentów faszystowskich wydał odezwę, w której oświadcza, że zrywa z faszyzmem oficjalnym i że przejdzie do opozycji, o ile rząd Mussoliniego nie wejdzie na drogę legalizmu i prawa.

Komitet rozłamowy otrzymał wiadomości o przyłączeniu się doń 24 sekretariatów faszystowskich z Południowych Włoch, które liczą do 40.000 członków, przeważnie robotników.

PRASA WŁOSKA POD BUTEM MUSSOLINIEGO.

RZYM, 26 lipca. (Tel. wł.). — W Mediolanie skonfiskowano pismo „Unita“ za artykuł o konferencji londyńskiej.

Boloński organ „Piu Aranti“ został zawieszony za działalność podburzającą.

Utworzył się związek wydawców w celu obrony pism przed represjami władz.

NOWY PREZYDENT MEKSYKU.

LONDYN, 26 lipca. (Tel. wł.). — Gener. Plutarch Calles został obrany prezydentem Meksyku.

WŁOSKA POŻYCZKA DLA JUGOSŁAWJI.

Przebieg rokowań o pożyczkę włoską dla Jugosławii w wysokości 600 milionów lirów jest pomyślny. Pożyczka będzie udzielona przez Banca Commerciale. Warunki będą takie same, jak pożyczki dla Polski.

MARJANNA.

Czy wiecie dlaczego republika francuska nosi popularne przezwisko Marjanny? Mało kto wie skąd ono powstało.

Przewisko to powstało w czasie rewolucji, gdy podczas licznych obchodów i uroczystości republikańskich wyobrażano republikę lub wolność w postaci najpiękniejszej dziewczyny Paryża.

Jedną z nich Marjanna Lecot, figurowała najczęściej jako symbol republiki i stąd powstała identyfikacja w umyśle ludu republiki z Marjanną.

Rewolucja przeszła — Marjanna została.

CO DZIEN NIESIE?

LIPIEC

26

Sobota

Dziś: Anny mat. NMP
Jutro: Pantaleona MWschód słońca o g. 5.48
Zachód słońca o g. 7.56
Wschód księżyca 12.32 pn.
Zachód księżyca 5.52 pp.
Dług. dnia 15 g. 48 m.
Ubyło dnia 0 g. 56 m.**Biblioteka Publiczna**, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.**Miejska galeria sztuki**, park im. Sienkiewicza, wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i zdobnictwa polskiego, otwarta od 10 r. do 8 w.**Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”**, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska

Teatr Miejskiw parku Staszica:
„Dwaj mężowie pani Marty”.**Teatr Letni „Scala”** w ogródku Variete. Program nr. 4.**„Casino”**:

„Opinia i cnota”.

„Luna”:

„Fontanna miłości”.

„Grand - Kino”:

„Garbusek i tancerka”.

Kino wespół z pracown. państwowych:

„Grzech zamężnej kobiety”.

2% w Warszawie—10% w Gdańsku.

Jak banki warszawskie omijają rozporządzenie o zwalczaniu lichwy pieniężnej.

Niesamowite pogłoski poczynają obiegać Łódź. Tak niesamowite i dowodzące tak olbrzymich zdolności kombinacyjnych naszych sfer kupieckich i finansowych, że wierzyć się wprost nie chce, by mogły być prawdą. Otrzymujemy jednak jednocześnie ze sfer gdańskich i warszawskich potwierdzenie wiadomości

o machinacjach pieniężnych, które dzieją się na granicy polsko-gdańskiej.

Już nawet pisma łódzkie donosiły o tajemniczym znikaniu większych sum złotych, a obserwacja podróży i

nawet władz, które zajęły się już tą sprawą

sprowadza na domysł, że gotówka ta wywożona jest do Gdańska.

Obserwacja rynku pieniężnego wewnątrz kraju pozwala domyślać się celu eksportu. Niezwykła ciasnota pieniężna i brak środków obiegowych, jedna z kardynalnych przyczyn kryzysu zmusza firmy przemysłowe do zaciągania pożyczek i to nawet nie licząc się często z nader wygórowanymi żądaniami procentowymi. Niekiedy fabrykant, który nawet zobowiązań swe kilkakrotnie już prolongował, znajduje się w sytuacji tak już bez wyjścia, że pewną pożyczkę zaciągnąć musi. Jeden większy, jeden mniejszy — zależnie od stopnia swej odpowiedzialności pieniężnej i chwilowych potrzeb.

Ostatnie jednak rozporządzenie ministra skarbu, ograniczające dopuszczalny procent, spowodowało jeszcze większą ciasnotę na rynku gotówkowym.

Uzyskanie pożyczki połączone jest z ogromnymi trudnościami — jednak w ostatnich dniach do znajdujących się w tarapatach firm zgłaszają się jacyś tajemniczy pośrednicy, proponujący pożyczkę oprocentowaną 10 od sta w stosunku miesiecznym!

Na zwróceną im uwagę, że przecież pobieranie takiego procentu grozi karami, przewidzianymi o lichwie pieniężnej — pośrednicy owi informują, że przecież rozporządzenie to odnosi się, rzecz prosta tylko do obszaru Rzeczypospolitej polskiej — proponowana zaś przez nich gotówka

nie pochodzi z Polski, lecz... z Gdańska!

Bliższe badania, przeprowadzone przez zainteresowanych tą sprawą i odnoszących się z niewiarą do go, by przeżyjący straszną stagnację Gdańsk mógł pożyczkę jeszcze Polsce, a właściwie Łodzi — wyjaśniły rzecz całą.

Kilka pomniejszych banków, przeważnie warszawskich, zmobiliowało całą możliwą do uzyskania przez nie gotówkę i przez specjalnie zaangażowanych szmuglerów — specjalistów przemysłu — zaciągnęło ją na terytorium gdańskie.

Tam jeden z banków objął protektorat nad całą akcją i występu-

jąc jako rzeczywisty posiadacz owej gotówki złotowej (przeważnie, rzadziej dolarowej), proponują ją przez swych pośredników przemysłowcom łódzkim.

Pożyczanie bowiem wprost z Warszawy do Łodzi nie byłoby tak intratne ze względu na wiadome rozporządzenie. Nie powiększyłyby nawet zysku znakomite „koszta manipulacyjne”. Jeżeli zaś pieniądze te przewiezie się do Gdańska, tam fikcyjnie odda w ręce zarządcy przypuszczonego do spółki banku, to najzupełniej bezpiecznie można pobrać oprócz słonej prowizji jeszcze 10 proc. miesięcznie oprocentowania.

Straty jednak państwa polskiego są tu nieobliczalne. Trudno wszak przypuszczać, by cała wywieziona potajemnie gotówka mogła z powrotem przeniknąć do kraju — część jej napewno „przyklepia” się w Gdańsku, a najprawdopodobniej i gdański wspólnik banków warszawskich stara się o wypozyczenie jej również i przemysłowi niemieckiemu.

Szmugiel tej gotówki via Tczew należy przylapać bezwzględnie — banki zaś, które do tego zbrodnictwa koncernu należą muszą zostać zamknięte.

W akcji tej władze skarbowe liczyć mogą na całkowite poparcie społeczeństwa, które przeciwko tego rodzaju „drenowaniu” rynku pieniężnego napewno gorąco zaprotestuje.

FELJETON.

Czas to pieniądz.

Ameryka — ojczyzna Edissona i Dynsey'a, Forda i Jackie Coogana, Franklina i Sitnisa Bulla; kraj, gdzie co siedmiu ludzi składa się i mają jeden wspólny samochód, a każdy dla siebie ma „Original Gillette Safety Razor”; kraj, która systemem masowej fabrykacji wytwarza tysiące dobrych ludzi (praktyczny idealizm) i miliony doskonałych artykułów; ta ziemia Onclama rzuciła na rynek wszechświatowy również i słynne swe hasło „Time is money”.

O ile każdy fabrykant amerykański jest zaopatrzony w dokładny sposób użycia (direction toruse), z którego zwykły śmiertelnik dowie się dokładnie jak ma się z danym aparatem obchodzić, o tyle wielkie słowa „czas to pieniądz” nie zostały przez swych wytwórców zaopatrzone w komentarze konieczne.

A pole do nieporozumień jest rozległe. Nie wolno mianowicie rozumieć tych słów w ten sposób, jakoby czas był pieniądzem. Niesety tak nie jest. Ho, ho, gdyby tak było! Byłbym dziś złotowym milionerem. Bo mam tyle czasu!... A tu ani grosza za to nie widać!

Nasze urzędy państwowe z chwili swego powstania od razu wysunęły sobie za wzór rozmach i sprawność urzędów amerykańskich. Uwidacznia się to po dziś dzień w napisach:

Zajętemu pracą nie zabieraj czasu! Kończ sprawę i żegnaj! Czas to pieniądz!

Widocznie ten, który projektował te napisy, przedstawiał sobie rzecz w ten sposób: biura i urzędy pracują tak dzielnie, że wszystkie „kawałki” są zawsze załatwione.

Petent przychodzi up. po paszport zagraniczny; urzędnik wita go już od drzwi z miłym uśmiechem na ustach; zadaje tylko kilka pytań i nim się „gość” zdąży obejrzeć już ma w ręku gotowy dokument i tutaj właśnie zachodzi obawa, by nie zaczął urzędnikowi dziękować i chwalić jego zdolności. Wówczas urzędnik z równie miłym uśmiechem jak przy powitaniu żegna obywatela, wskazując mu tabliczkę z napisem rodem z Ameryki.

Dziękujemy jednak przez czas długi dostatecznie, że jesteśmy krajem o własnych starych tradycjach i że nie tak łatwo załansować u nas zamorskie zdobycze.

Biedni petenci wystają w ogonkach i ze złą w oku czytają, że czas to pieniądz. A gdy dostaną się do środka, marzą tylko o tem, by się wydostać z pod srogielapy urzędnika. Każdy chciałby skończyć sprawę nie żegnając się bodaj.

A szumne napisy odnieść należy do samych urzędników, a nie do petentów.

Wobec nieistniejącego „ruchu w interesie” słyszymy, że jedna z drukarni za b. niską cenę podemuje się zużyte starych tablic dla nowych napisów, treści:

„Niejątemu pracą, zabierz trochę czasu! Kończ jedną historię i zaczynaj drugą! Posiedź; nie żegnaj! Wolny czas to nie pieniądz!

I tak ludzie w biurach grają sobie w karty. Fidelio.

Humor wojenny.
(Z armii austriackiej).

U LEKARZA WOJSKOWEGO.

— Co wam dolega?
— Fluca!
— Na front południowy!
— A wam, szeregowy?
— Ogluchłem, p. majorze.
— Do moździerzy 42 cm!
— Następny! Co wam dolega?
— Niedowidzę, p. majorze.
— Do okopów frontowych!

PODOBIENSTWO.

Co mają z sobą wspólnego bomby i aeroplanów i odznaczenia?
Jedne i drugie przychodzą z wysoka i trafiają w niewinnych.

DOWCIPNY.

Na początku wojny. Żołnierz-żyd p. stronie austriackiej patroluje nad granicą. Zbliża się roslanin i mierzy doń z karabinu.

Żyd woła: Co pan strzelasz? Czy pan nie wie, że tu człowiek stoi?

SPORT.

Nie mamy sędziów!

Piłkarstwo lokalne na ciernistej drodze rozwoju, zdobyło już prawie wszystko. Równie szybko, jak samo miasto, a nawet szybciej powstał łódzki sport piłkarski, a jedno z naszych boisk t. j. Ł.K.S.-u należy dziś do najlepszych w Polsce. Sport spopularyzował się wśród szerokiej mas, dostał się nawet do sfer robotniczych, a prasa, wszechwładna prasa, poświęca tylko miejsca, co każdej gałęzi życia społecznego. Dziwnem się tedy wydaje, że obok wyżej wymienionych zdobyczy na jednym punkcie stoi ciągle gmina sportowa kominogrodu.

Organizm sportu piłkarskiego to czy jeden, jedyny robak — zły sędzia łódzki. Dziwne, a jednak prawdziwe! Posiadamy kolegum sędziów, a nie mamy sędziów! Owa choroba sędziowska, jest przyczyną niezliczonych incydentów na boiskach łódzkich, ta choroba to wata, na którą każdy malec umie gwałt, a gwizdać oryginalną symfonię kaloszową.

Życie i sport potrzebują sędziów. Złe jest, bardzo złe, gdy sędziowie nie dorastają do stanowiska, na które ich wyniesiono; jeszcze smutniej, gdy arbitrowi z zielonej murawy trzeba piętnować, pod każdą recenzją z zawodów, poświęć im specjalny kącik, na który prawie stale składa się nie krytyka, a gorzka ironia.

Zbliżają się wielkie dni o mistrzostwo A-klasy, a o naprawie sprawy sędziowskiej ani słowa. Widać status quo przypada do smaku naszym władzom sportowym, skoro pomimo protestów prasy, ci sami panowie prowadzą nadal w właściwym im stylu nader ważne zawody międzynarodowe.

Ale mniejsza o zawody międzynarodowe. Każde spotkanie w walce o punkty jest stokroć ważniejszą i potrzebuje znośnego, bezstronnego sędziego.

Warto bodaj pobeżnie skreślić sylwetki naszych arbitrowi i zebrać to, co o nich mówi opinia publiczna, a głosi fama. Patrząc na „chorobę sędziowską” okiem lekarza, który ją chce uzdrowić, zacząć należy od wymienienia naszych najlepszych sędziów. Mamy ich niestety niewiele....

Wśród lejad łódzkich arbitrowi bez wątpliwości wybijał się p. Marcowski — sędzia o polskiej krwi. Pan ten, który niektórych zawodów nie chciał prowadzić, otrzymał wykreślenie z łódzkiego

kolegium sędziów. Łódzki światek sportowy stracił najlepszego arbitra. Pp. Zygmunt Hanke i Arno Dietel, reprezentują dziś z ciałą sędziowskiego, to co mamy najlepszego.

Obaj są niestety członkami miejscowych klubów. Gdy p. Hanke będzie sędziował mecz Unionu, a p. Dietel mecz Ł.K.S.-u o mistrzostwo, to zawsze znajdzie się tacy, którzy zakwestionują bezstronność tych panów i być może, że będą mieli niedowiadkowie rację.

Znośna klasa naszych sędziów to pp.: Retlig, Kowalski, Otto i Fiedler. Pierwszy z wyżej wymienionych i ostatni mogą uchodzić za bezstronnych. Pozostali — to czynni członkowie Ł.K.S.-u. Pomimo najlepszych chęci nie chcą się mierzyć, aby pp. Otto i Kowalski, gdy będą sędziowali mecz, pozostający w związku z Ł.K.S.-em — mogli wykazać swoją bezstronność. Członek klubu może być sędzią. Ale kieruje nim przedewszystkiem poczucie obowiązku względem klubu — prawie że mimowolne.

Na czoło sędziów minorum gentium wysuwa się p. Salamonowicz. Morze atramentu wylano już na konto tego pana. Szereg protokółów spisano, w wypadkach, gdy p. S. sędziował. Dziesiątki malców popłakanych, których wyrzucano z meczu z powodu zbytnej muzykalności pod adresem sędziego — to ofiary p. Salamonowicza.

Na pierwszych zawodach o mistrzostwo, które będzie prowadzić ten pan — dojdzie do bójk — to rzecz pewna.

Reasumując, dochodzi się do wniosku, że mamy dwóch maksimum trzech sędziów, którzy mogą prowadzić zawody o mistrzostwo. Łódź, która deleguje na zawody Hakoah—Ł.K.S. 10.000 widzów — ma trzech sędziów!!!

Tę najważniejszą bolączkę trzeba usunąć. Nie stać nas na sędziów własnych, więc będziemy ich sprowadzali z Lublina, Górnego Śląska, Rzeszowa, Drobobycza. Panowie z Krakowa, Łwowa i Poznania, zapewne nie zechcą lub nie będą w stanie przyjechać do Łodzi. Zresztą sprawa jest otwarta, a nasz niezwykle ruchliwy Ł.O.Z.P.N., jeśli pomedytuje ze trzy miesiące — to wyjdzie znajdzie....

Od mistrzostw oddzielają Łódź piłkarską cztery tygodnie.

Życie i sąd.

FELJETONIK SĄDOWY.

CHUSTECZKA, JAKO PROTOTYP AUTOMATU PRZYSZŁOŚCI.

Wielka księga światowa, w której złotymi zgłoskami wyrzeźbione są nazwiska genialnych wynalazców i dobroczyńców ludzkości — zawiera wielkie luki, których wypełnieniem zająć się powinno demokratyczno-socjalistyczne społeczeństwo XX-go wieku.

Zastanawiający się nad genezą wszelkich wielkich wynalazków, dochodzimy do wniosku, że składają się one z poszczególnych mniejszych odkryć, dokonanych przez prawdziwych bohaterów nauki, których bezimienna praca jest antycypacją i zapowiedzią przyszłego dzieła.

Niewolno więc nam zapominać o wynalazcach rzeczy małych, gdyż — jak się wyżej powiedziało — niema wynalazku bez poprzedzających go odkryć.

Czyż Stefenson wynalazłby lokomotywę, gdyby wrzenie wody w czajniku (wynalazzonego przez bezimiennego odkrywcę) nasunęło mu ten genialny pomysł?

Takich pomysłów naliczyliśmy tysiące... Używając — na przykład — ciagle tak niewinnego przyrządu, jakim jest... chusteczka do nosa, nie zastanawiamy się zupełnie nad ro'a, jaką ona może odegrać jako prototyp jakiegoś automatu przyszłości...

— Wierc oskarżona do kradzieży się nie przyznaje?

— A do czego, proszę ja wysokiego sądu, mam się przyznać, kiedy nie nie ukradłam?! Bo proszę sądu, czy tam o głupia chusteczkę warto się sądzić?! I czy to nie wstyd dla takiego państwa, by biedna służąca na policję podawać?... A, bo proszę sądu — ta gruba Franca co to przedemna u owego państwa służyła, ile ona ci tam ukradła i... nie!! A tu głupia chusteczka do nosa...

Sędzia pokoju jednak, trzymając się widocznie przez nas poruszonych zasad, skazał — Jasię Macieka, służącą — za kradzież... chustki do nosa na 3 tygodnie więzienia. Seg.

Bezrobotni zmuszeni głodem do kradzieży.

(J) Nastąpił kryzys w przemyśle i handlu. Franciszek Bobrowiak, jak wielu innych robotników, został pozbawiony pracy i wyrzucon na ulicę bez żadnych środków do życia.

Po wyprzedaniu swych skromnych mebli i garderoby, a wreszcie i odstąpieniu pokoju, nieubłagany głód zajął mu w oczy.

Zrozpaczony Franek, całymi dniami chodził po mieście, szukając jakiegokolwiek pracy, by móc za zrobić choć parę groszy na utrzymanie żony i siebie.

Wszędzie spotykał się z odmową, obiecywano mu wprawdzie pracę, lecz dopiero za kilka miesięcy. Doprowadzony do ostateczności postanowił kraść, by w ten sposób ze zdobytch pieniędzy zasłodzić głód swój i żony, gdyż na kredyt sklenikarka więcej dawać mu nie chciała, dowiedziawszy się, iż Franek nie pracuje, wobec czego długów oddaćby nie mógł.

Po porozumieniu się z kolegą swym, z którym razem pracował w fabryce, Franek udał się z nim razem na „zarobek”.

Weszli do pierwszego sklepu z manufakturą, który zauważyli na ulicy Nowomiejskiej.

Podczas gdy uszczęśliwiony widokiem klientów właściciel sklepu pokazywał towar Frankowi, kolega jego schował pod balto sztukę szewiotu damskiego. Franek zobaczywszy, iż wspólnik jego jest już „gotów”, zakomunikował właścicielowi sklepu, iż towar jest za drogi i przeprosił go za zabranie mu drogocennego czasu, obaj wspólnicy wyszli na ulicę.

Po wyjściu „klientów”, właściciel sklepu zauważył brak sztuki towaru, wobec czego wybiegł na ulicę, gdzie wszczął alarm.

Policjantowi, przybyłemu z pomocą zakomunikował, iż padł ofiarą „klientów”, którzy nadużyli jego zaufania, podając jednocześnie ich rysopis.

Na mocy rysopisu policjant zaczął czynić poszukiwania za złodziejaskami.

Po upływie kilku dni obaj wspólnicy dostali się pod klucz, gdyż zostali przylapani na gorącym uczynku.

Poszkodowany właściciel sklepu podczas konfrontacji w urzędzie śledczym poznał w zaarrestowanych swych „klientów”.

Przyparci do muru obaj złodzieje przyznali się do popełnienia całego szeregu kradzieży.

W dniu dzisiejszym sprawa ta była rozpatrywana w sądzie okręgowym.

Sędziowie po naradzie skazali Franciszka Bobrowiaka i Antoniego Kubickiego po 6 miesięcy więzienia.

Tajemnicze zbrodnie w Paryżu. Wywiad u Edisona.

Morderstwo dziewczynki po uprzednim ich zgwałceniu. — Czyżby nowy Landru? — Tajemniczy las Fontainebleau.

Paryż znów jest wstrząśnięty dwoma tajemniczymi zbrodniami. Wznowienie chłodu miały miejsce nie w samym Paryżu, tylko pod Paryżem, ale w tak bezpośredniej styczności z miastem, zwyczajnie na przedmieściach, że łatwo mogło być uważane za paryżkie. I tem bardziej jest rzeczą wstrząsającą, że jedna z tych zbrodni dokonano dnia 14 lipca — w dzień narodowego święta francuskiego.

Dnia tego rano rodzice małej, 12-letniej Marii Ludwigi wysłali ją do Poissy.

Zwykle posłuszna dziewczynka dnia tego całym trafem nie chciała wypełnić polecenia.

I była tak daleko krnąbrna, że matka musiała się uciec do rąk. Gdy jeszcze późnym wieczorem dziecka nie było z powrotem w domu, rodzice zawiadomili o tem policję. Ale był to dzień święta narodowego i różni funkcjonariusze policji — tak, jak inni śmiertelnicy — nie mieli czasu na służbę, tylko poprosili zabawić się winem.

Nie wszczęto zatem żadnego dochodzenia, tylko uspokojono rodziców, jak można było, co tem łatwiej się udało, że także nikt z sąsiadów nie traktował wypadku serio. Ale gdy następnego dnia w podwórku dziecka jeszcze nie było w domu, a tymczasem alkohol z głów wytrzeźwiał, wzięto się energicznie do poszukiwań.

W dwadzieścia cztery godziny później na łące pod kartoflanym w Poissy

znaleziono ślady jakby ciała ludzkiego, wlezione go po ziemi, ślady te prowadziły w żyło, gdzie też znaleziono nagle zupełnie trupa dziewczynki, ze śladami zgwałcenia.

Morderstwa dokonano przez uduszenie, przyczem na szyi ofiary był jeszcze sznur.

Jak dokonano tej okropnej zbrodni, pozostaje do tej pory zupełną zagadką. Gościnnie z Paryża do Poissy jest stale, dniem i nocą, nistychanie ofiary. Mowy nie może być o tem, by zbrodni dokonano w miejscu, gdzie znaleziono ciało biednej, nieletniej ofiary. — Najbardziej prawdopodobna jest to, że

morderca zwał się daleko do mieszkania i tam dopuścił się zbrodni.

I tu występują na jaw zupełnie nieoczekiwane, a niesłychane proste okoliczności. Inna dziewczynka, wysłana za sprawkami do Poissy,

wróciła do domu bez gorsetu.

Zapytana o przyczynę, początkowo nie chciała dać żadnej odpo-

wiedzi. Później wyjaśniła, że tę niepotrzebną część ubrania porzuciła koło pewnego zabudowania Komisarz Lalo, który zajął się tą sprawą, wezwał dziecko do siebie i starał się dowiedzieć, dlaczego wracając do domu, nie wstąpiła po gorset, gdyż należało się spodziewać, że w domu, jeżeli wróci bez gorsetu, będzie ukarana.

„Nie miałam na to dość odwagi” — odpowiedziała dziewczynka i zaczęła płakać. O przyczynach tego braku odwagi i wotów nie można już było od niej słówka wydobyć.

Zrodziło się podejrzenie, oparte także na innej okoliczności, że

gdzieś w pobliżu Poissy znajduje się jakiś dom, czy instytucja, gdzie się uwodzi i gwałci nieletnie dziewczynki — zupełnie, jak była willa Landru.

Argument, że dzieci same wniośłyby skargę, nie wytrzymuje krytyki. Historia kryminalistyki wykazuje, że dzieci — przez jakąś nie zbadaną bliżej psychozę strachu — lata całe musiały zatajać zbrodnie, o które wiedziały.

Jakie wrażenie wywołała ta zbrodnia w Paryżu, wystarczy wskazać, że już kilka „jasnowidzących mediów” zgłosiło się do policji z ofiarowaniem swoich usług dla odnalezienia zbrodniarza.

Druga tajemnicza zbrodnia, która wstrząsa obecnie nerwami paryżan, zdarzyła się w lesie Fontainebleau. Jest to stosunkowo duży las, w bezpośrednim sąsiedztwie Paryża, a okazało się obecnie, że ukrywa tajemnice, o których się nikomu nie śniło.

Teraz do piero wyszło na jaw, że zyla tam jakaś dziwna para, po prostu troglodyci.

On, lat około pięćdziesięciu, nieznanego stanu cywilnego i pochodzenia, zwany „wielki dziwak” — podczas wojny służył jako ochotnik i był ciężko ranny; ona, z pochodzenia bretonka, o dziesięć lat od niego starsza, nazywana „matką Florimond”. Mieszkali oboje w najniebezpieczniejszej części lasu, w naturalnej grocie skalnej, jakich dziesięciu metrów głębokości. Grota była wewnątrz zawieszona skórą, siano służyło za posłanie, a wejście do groty było zasłaniane drzewem i mchem.

Pewien spensjonowany leśniczy, który z namiotności chodził codziennie do lasu, jedyny człowiek, który bliżej znał owych troglodytów, pewnego razu, przechodząc zupełnie przypadkowo koło groty, zauważył, że

wejście do groty jakoś nieprawidłowo jest zakryte, inaczej, niż to zwykle by było czyni jej mieszkańcy.

Zaintrygowany wszedł do środka i zaraz u wejścia zobaczył matkę Florimond, owiniętą w płaszcz żołnierski, leżącą na podłodze, jakby śpiącą.

Okazało się, że nie żyje.

W boku miała małą ranę, jakby zadana strzałą.

O wiele bardziej przerażający był widok, jaki uderzył oczy leśniczego, w głębi jaskini. Tam, na małym podwyższeniu, leżał zupełnie nagi trup mężczyzny ze straszliwą raną w brzuchu.

Jak dokonano tego podwójnego morderstwa, jest zupełną zagadką. Nigdzie śladów walki i samobójstwo wykluczone, bo nie znaleziono żadnej broni. A jaki cel zbrodni? Zamordowani nie posiadali ani pieniędzy, ani kosztowności, ani wotów żadnych rzeczy, więc nie może być mowy o rabunku. Pomordowani troglodyci musieli zatem mieć jakichś ukrytych nieprzyjaciół. Wszystko jest dotąd nieprzeniknioną tajemnicą.



CHOROBY NERWY

są przyczyną wszelkiego rodzaju cierpień, nerwowych bólów głowy ociążenia żołądka, bólów w mięśniach, osłabienia, drażliwości, niechęci do pracy, zaniku pamięci, niepokoiu i niechęci do życia.

ZDROWE NERWY

są źródłem radosnego poczucia siły życiowej, radości życia, dobrego snu, chęci do pracy, wytrwałości i energii. Wyczerpane nerwy stają się znów zdolnymi do pracy przez wprowadzenie do nich substancji, które są niezbędnymi składnikami mózgu, mleczu i nerwów. Mój środek nie jest żadnym tajemniczym lekarstwem i jest zalecany przez tysiące lekarzy dla ożywienia nerwów. Jest on przygotowany ściśle według naukowych przepisów, działa wspaniale i szybko. Wysłałam za pośrednictwem moich punktów sprzedaży, które posiadamy we wszystkich europejskich krajach w ciągu tego miesiąca.

20 000 pudełek darmo

wraz z zrozumiałą dla każdego broszurką, Dra Lichta o właściwym pielęgnowaniu nerwów. Napiszcie zatem dziś jeszcze do firmy **ERNST FASTERNAK**, Berlin S. O. Michaelkirchplatz 13 Abteilung Nr. 114.

W Orange, w stanie New-Jersey, małej miejscowości odległej od Nowego Jorku o pół godziny jazdy koleją, pracuje jeszcze z niezmienną energią słynny wynalazca Edison, mimo, iż starzec ten liczy prawie 80 lat życia.

W mózgu tego starca wciąż wibrują wielkie techniczne problemy Edison stracił tylko w znacznym stopniu słuch, wskutek czego niechętnie przyjmuje wizyty cudzoziemców. W ostatnich czasach zwoził on tylko jeden wyjątek dla młodzieńczej pracowniczki gazety p. t. „Svenska Dagbladet”, która odbyła podróż po Stanach Zjednoczonych dla studiów nad filmami kinematograficznymi. O swoim 5-cio minutowym wywiadzie pisze ta szwedka co następuje:

„Osobliwy to wywiad... Nie powiedziałam do Edisona ani słowa, gdyż jest on w stanie zrozumieć tylko swych najbliższych przyjaciół, którzy mu głośno trąbią do ucha. Inni muszą mu podawać swoje pytania na kartkach wypisane, co i ja uczynić musiałam. Na niektóre pytania odpowiedział on pisemnie, a na niektóre usłnie, swoim bezdźwięcznym starczym głosem.

Znajdowaliśmy się w obszernym pokoju. Edison przyłożywszy do ucha słuchawkę, przysłuchiwał się właśnie grze pewnej damy, grającej tuż obok niego na pianinie. Kiedy przekroczyłam próg tego pokoju, Edison odłożył słuchawkę i uściśnawszy mi rękę, zaprosił do zajęcia miejsca.

Jest to człowiek dużego wzrostu silnie zbudowany, twarz ma poora z zmarszczkami, ale oczy promieniają życiem.

Edison pracuje codziennie nad nowymi wynalazkami. Powiada, że śpi on tak mało, jak Napoleon, t. j. po 4 lub 5 godzin, a często zapomina zupełnie na kilka dni kłaść się do łóżka, zwłaszcza jeżeli umysł jego jest intensywnie zajęty jakimś nowym pomysłem.

Na pytanie szwedki, co sądzi o przyszłości filmów, będących na usługach oświaty, Edison odpowiedział:

Przyszłość filmów pouczających niema żadnych granic. Filmy takie muszą być jednak ujęte w ten sposób, żeby były łatwo zrozumiałe dla dzieci. Sporządziłem kiedyś serię filmów, przedstawiających magnetyzm. Z jaką że łatwością materiał ten da się przedstawić w obrazach. Słowa były zupełnie zbyteczne. Filmy te pokazano następnie 12-stu wybranym chłopcom, od 8-miu do 10-ciu lat wieku, aby się przekonali, czy te filmy to stały przez nich rozumiane. Rezultat był nadzwyczajny. Około 70 proc. treści, dzieci zupełnie zrozumiały, i zachowały w pamięci. Reszta treści została przezemnie

na filmie uproszczona tak, że również dzieci już rozumiały wszystko. Ta metoda wypróbowania zdolności pojęciowych u dzieci w sposób doświadczalny winna być zawsze stosowana, jeśli z filmów naukowych ma być jakiś pożytek.

Mało jest ludziom wiadomo, że Edison bardzo wiele pracy włożył w sporządzanie filmów naukowych. Z pracą tą wiąże się także jedna z największych katastrof jego życia. Kierował on mianowicie osobiście w swoim laboratorium sporządzeniem kilkuset filmów naukowych z rozmaitych dziedzin wiedzy. Włożył w tę sprawę ogromne sumy pieniędzy i poświęcił się jej z nadzwyczajną energią. Pewnej nocy cała ta nieoceniona kolekcja filmów padła pastwą pożaru, przyczem w ogniu zginęły również manuskrypty, rysunki, książki, modele i t. d.

Na pytanie, czy oczekuje on dalszego ulepszenia filmów w przyszłości, Edison dał odpowiedź przeczącą. Jego zdaniem film jest już pod względem technicznym prawie zupełnie udoskonalonym. Dalszym ulepszeniem mogłoby być chyba tylko przedłużenie taśm filmowych i rozszerzenie ekranu.

Dawniej Edison zajmował się bardzo intensywnie filmami mówiącymi, ale kiedy cel swój już osiągnął, to stwierdził, że ogół mało się tą sprawą interesuje, wobec czego prace swe w tym kierunku przerwał.

O pracach, któremi głośny ten wynalazca zajmuje się obecnie, nie chce on mówić. Mówi tylko o rzeczach gotowych. W końcu szwedka zapytała się go, czy bardzo cierpi wskutek swej głuchoty, na co otrzymała następującą odpowiedź: Bynajmniej. Głuchota moja chroni mnie tylko od wysłuchiwania częstych paplanin, wskutek czego łatwiej mi przychodzi obecnie koncentrowanie myśli przy pracy.

Dr. S. Kantor
Specjalista chorób wenerycznych skórnych i włośnowych.
ul. Piotrkowska 144
róg Ewangelickiej.
Godz. przyjęcia: od 9-2
i 5-8 w. Dla ośm. 5-6

KOSZULE
w wielkim wyborze
kolnierze, krawaty, skarpetki
jak również wszelkie artykuły wstępnego pojęcia
H. Petersilge
93 Piotrkowska 93

Dr. L. Prybulski
Choroby skórne, włośnowe, weneryczne i moczopł. Leczenie światłem (Lampy kwarcowe) i promieniami Roentgena.
Zawadzka 1.
Telefon 25-28.
Przyjmuje od 9-1 i od 5 do 8, dla ośm. 4-5
638-9-z

Udzielam lekcji w zakresie 6-ciu klas. Oferty sub „W. W.” do adm. „Głosu”

CHARLES DICKENS.

HORATIO SPARKINS

(Dalszy ciąg).

Do towarzysztwa tego należał również syn pana Thomasa Malderton, w białym krawacie, granatowym fraku, z różnymi ozdobkami i ozdobną kaskadą od zegarka. Miss Teresa była tak uprzejma, jak wypada na dwadzieściolecieletnią, a poszukiwaczka mezo-panienki, miss Mary wysłała o tem, że otrzyma kilka pięknych wierszy do satambuchu, miss Malderton, posławszy, że będzie mile i uśmiechała, a mr. nie potrzebował. Buziłem bowiem z całym spokojem na swój majątek i gwałtownie, zaś syn tej samej rodziny, mr. Thomas Malderton, liścił się z podobnymi sobie wierszami Horatio Sparkinsa i zaprosił go na partię bilarda. To też spórzenia całej rodziny, gdy tylko przestąpiła próg salonu, zwróciła się do młodzieńca Horatio.

Młodzieniec ten oparł o framugę drzwi, wyłożył oczy do góry i patrzył nieświadomie w sufit.

— To on — szepnęła mrs. Malderton swemu mężowi.

— Jaki podobny do lorda Byrona — szepnęła Teresa.

— Albo do Montgomery — płonila się Maria.

— Albo do portretu kapitana Rossa — rzekł dosyć głośno młody Malderton.

— Tom nie bądź cymbałem — rzekł ojciec, który nie omijał żadnej okazji, by dowiedzieć swemu synowi, że jest cymbałem.

Tymczasem elegancki Sparkins patrzył ciągle w sufit i dopiero, gdy rodzina Maldertonów była już w bliskości, ocknął się w ludzko naturalny sposób z zadumy i silnie akcentowaną uprzejmością począł witać młode misses, ukłonił się z szacunkiem mrs. Malderton i zamienić ceremonjalny ukłon z mr. Maldertonem i jego synem.

— Miss Malderton — rzekł Horatio — czy mógłbym ludzi się nadzieją, że pani pozwoliłaby mi bym miał przyjemność...

— Nie przypuszczam, abym była już zamówiona — szepnęła wstydliwie miss Teresa — ale doprawdy...

— Horatio wyglądał tak nieścisłiwie, jak potykający się o skórki pomarańczy Hamlet.

— Uczyni to z największą przyjemnością — wdzięczyła się interesująca Teresa, a twarz Horatio zaświeciła, jak stary kapelusz na deszczu.

— Doprawdy, że to jest bardzo elegancki młodzieniec — zauważył mr. Malderton, gdy Horatio wprowadził miss Teresę na salę balową.

— Jest bardzo taktowny — zauważył młody Tom — mówi bardzo ładnie.

— Tom — rzekł ojciec uroczysto — zdaje mi się, że ci już powiedziałem, żebyś nie był niedołągą.

Tom tymczasem był wesoły, jak kogut podczas deszczu.

— Jakże to szczęśliwie — rzekł interesujący Horatio do swej tancerki, gdy po skończonym kadrylu przechadzali się po sali.

— Jakże to pięknie, jakże to miło, gdy po wielu burzach życiowych spotyka się chwilę radości, która, choćby na krótko, wydaje się nam rajem, gdy natomiast odalenie się od źródła tej radości może sprawić, że człowiek wrota

w obłęd lub zimną rozpacz śmierci...

— Jakże to brzmi poetycznie, ileż w tym uczucia — szepnęła miss Teresa i oparła się mocniej o ramię partnera.

— Ale dosyć, dosyć — szepnął poetyczny Sparkins — coż ja nieścisły powiedziałem, że ja, że ja, że moje uczucia, że ja pani wyznałem, że pani pozwoliła...

— Doprawdy mr. Sparkins — przerwała Teresa, płonąc się i uśmiechając rozkosznie — mogę pana skierować tylko do ojca mego. Bez jego pozwolenia nie odważyłabym się nigdy...

— Ależ on napewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

— Ależ pan go nie zna — rzekła miss Teresa, wiedząc zresztą bardzo dobrze, że z tej strony nie było się czego obawiać. Ale lubiła romansowe sytuacje.

— On rzeczywiście nie będzie mógł mieć nic przeciwko temu, gdy pani ofiaruję szklankę grogu — rzekł lekko zdziwiony Sparkins.

— Czy to wszystko — szepnęła sponiewana miss Teresa — tyle hałas o nic!

— Będzie mi niezmiernie przyjemnie, gdy ujrzę pana w niedzielę o godzinie piątej u siebie na obiedzie — rzekł mr. Malderton, gdy po skończonym balu skisnął za ręką eleganckiego Sparkinsa.

Horatio skłonił się i przyjął zaproszenie.

— Muszę przyznać — rzekł mu Malderton, ofiarowując Sparkinsowi swą tabakę — że nie bardzo lubię bały, gdyż wolę domowy mój komfort w Oak Lodge, tam czuję się najlepiej.

— Tak, tak — rzekł metafizyczny Sparkins — czym jest człowiek...

— Prawda, prawda — zauważył mr. Malderton.

— Widzimy, że żyjemy i oddychamy — ciągnął Horatio — posiadamy życzenia i nadzieje, marzenia i cierpienia...

— Ależ bez kwestji — przerwał mu z poważną miną mr. Malderton.

— Chciałem tylko powiedzieć, że czujemy nasze życie — rzekł podniesionym głosem Horatio — ale tu kończy się cała nasza wiedza, tu kończą się nasze życie. Cóż wiemy więcej?...
(d. c. n.)